PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 20. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci,
Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **15. Października.**

WYCIECZKA W TATRY.

(Ciąg dalszy).

MORSKIE OKO.

Po stronie polskich Tatrów najszerzej rozstąpiły się turnie na dolinie Białki, wypływającej z Morskiego Oka i będącej zarazem graniczną rzeką pomiędzy węgierskiemi a polskiemi Tatrami.

Ostatni punkt z którego się wyrusza do Morskiego oka jest Bukowina, leśniczówka położona na przedgórzach Ta-

trów. Ztąd tedy spuszczać się przychodzi w dolinę Białki i droga prowadząca po lewym jej brzegu w górę doliną po polskiej stronie wiedzie do Morskiego Oka. Wycieczkę tę robi się jeszcze na małych góralskich wózkach i podróż jest dopiero utrudzającą gdy się już do Morskiego Oka dojeżdża.

Z ogromnym szumem w niesłychanych spadkach płynie tu Białka, kulistym granitem, śnieżnej prawie białości, zasłanem łożem. Zjechawszy w dolinę od Bukowiny uderza naprzód po lewej stronie za Białką prześliczna turnia Muraniem zwana; która się przepyszną ścianą z poziomu doliny podnosi, tu i owdzie z lekka obrosła roślinnością alpejską. Wspomniałem tu na początku że w jakieś dziwne zadumanie wprawia umysł widok tych turni — jakoż czuje to i lud miejscowy i o Muraniu spiewa dziewczyna tę piosnkę:

Muraniu! Muraniu! dobrze dumać tobie...
Lecz me serce biedne, mój Janusik w grobie.

Janusik ten jest to jeden z bohaterów Tatrzańskich, o którym wiele jest powieści i pieśni. Był to rozbójnik węgierski, ale wiele szlachetnych rysów zachowało się o nim. Jakoż należy to prawie do charakterystycznej cechy górskiego ludu że zamiłowanie swobody przebiera czasem miarę i przechodzi w swawolę i dziś niema prawie w żadnej rodzinie szumnego chłopa, jak to mówią, któryby w młodości swojej nie był bujał jako wesoły po turniach i szałasach na polskiej i węgierskiej stronie. Każdy prawie młodzieniec gdy już lat męskich dochodzi poczyna dziczeć i idzie do wesołych. Tak od wieków nazywano tu rozbójników. Dawniej bywali to istotnie rozbójnicy, którzy na tem pograniczu rozbijali, uchodząc z Polski do Węgier a z Węgier do Polski — Dziś kończy się wyprawa wesołych na pustocie, na tem że parobczak nie opowiedziawszy się zginie na kilka niedziel albo i kilka miesięcy w górach, poszedłszy do wesołych; lecz cała wyprawa kończy się na tem że tu kobziarza wezmą w niewolę aby im grał, gdzieindziej wpadną na szałas do znajomych dziewcząt i tańczą całą noc, indziej wpadną do kar-

czmy i zabiorą wódkę, śliwowicę i tytoń węgierski, indziej wpadną na szałas, przestraszą dziewki i każą sobie zabić barana. Byłem raz świadkiem takiego napadu. Po kilku wystrzałach i krzykach groźnych wpadli do szałasu. Dziewczyna zapaliła łuczywo i rzekła do nich:

— A czego próżniaki krzyczycie? Czyście przynieśli wódkę? Czy macie kobziarza?

— Mamy, rzekli — ale zabijcie barana.

Baca się podniósł z legowiska, dziewczyna poświeciła płonącem łuczywem i poczęli owce łapać po koszarze.

— Tego nie bierzcie, krzyczał baca, to biednej wdowy. Ale weźcie tego—ten dobry i należy do bogacza—to mu go policzę.

Poczem wyprowadził sam barana i w najlepszej komitywie zajęli się wszyscy przyprawą do uczty. Gdy się dzień zrobił zaprosili z sąsiedniego szałasu dziewczęta, zjedli barana i tańczyli prawie dzień cały, w najlepszej zgodzie i w największej wesołości.

Parobczak co nie był u wesołych uchodzi za mazgaja, i niema wzięcia ani u gospodarzy ani u dziewcząt.

Równocześnie kiedy się w pierwszym planie obrazu ukazuje Murań, pokazują się w perspektywie turnie węgierskie na tle doliny, świecące śniegiem przez rok cały, z wyjątkiem kilku tygodni Nad całą kępą tych turni góruje Łomnica, przez górali pospolicie tylko Wysoką zwana.

Z poziomu dolin jest to może widok najrozleglejszy, który najbardziej wnętrze Tatrów rozkrywa. W miarę przybliżania się ku nim doliną Białki kryją się jedne turnie za drugiemi, lub przesuwają się oku w olbrzymich parowach. W połowie prawie doliny roztwiera się wielki, przepaścisty parów po prawej ręce, i tu wiedzie droga, albo raczej ścieżka po nad przepaściami do Pięciu stawów. Tak bowiem nazywają górale alpejskie jeziora, które się rozlały na pięciu skalistych tarasach. Podobnych jezior mniejszych i większych jest w Tatrach po naszej i węgierskiej stronie przeszło trzydzieści; rozlały się wszystkie już w krainie turni.

Na jednym zakręcie drogi prowadzącej do Morskiego Oka zatrzymuje zawsze góral podróżnych i każe nadsłuchiwać pilnie. W istocie wsłuchawszy się słychać niby kucie trzech młotów w wielkiem oddaleniu. Spadek wód, odbijający się regularnie o skały, wydaje łoskot do kucia młotów podobny. Jest nawet powiedziałbym coś metalicznego w tym dźwięku. A gdy się zapytać górala, co by to było? powiada że tam u pięciu stawów kują duchy koronę polską, i cała jest już gotowa, brak jej tylko jednego drogiego kamienia, którego jeszcze nie znaleźli. Na przekorę bowiem badaczom natury wierzą w to górale że niesłychane skarby złota, śrebra i drogich kamieni ukryte są w Tatrach, i że się kiedyś znajdą jak tego będzie potrzeba.

Zbliżając się już do Morskiego Oka utrudniona znacznie jest droga, bo zawalona blokami granitów, ale jakże wynagradza trudy przebyte widok Morskiego Oka, gdy się już na grobli stanie! Prześliczne jezioro rozlewa tu się w olbrzymiej kotlinie, którą do koła ostąpiły nagie turnie, wznoszące się pionowo prawie z nad brzegów jeziora. Wody jego są czyste i przezroczyste, mieniące się podług oświecenia i pogody dnia — koloryt tych wód jest tak żywy w pełnem oświeceniu słońca, iż tu dopiero jest uderzające podobieństwo do granatu pawiego oka w wachlarzu pawim. Zwykle przybierają wody kolor nieba. Niesłychana głębia wszakże nadaje tu wodom zupełnie odrębny i właściwy koloryt, żywego seledynu po brzegach, a mocnego mieniącego się granatu po toniach. Wody są tak przezroczyste iż każdy kamień na dnie leżący jest widny, iż ze znacznej nawet odległości widać pstrąga płynącego w wodzie, a nadto jeszcze cień jego przesuwający się na dnie jeziora. Pamiętam tu osobliwe raz zjawisko. Gdyśmy wjeżdżali w dolinę Białki wyleciały takie roje białych motyli dnia tego, że to zmieniało fizjognomję całej okolicy. Motyle posuwały się wraz z nami w górę doliną Białki, i dziwnie zajmowały nas te roje motyli lecące w jednym kierunku coraz wyżej w turnie. Gdyśmy do Morskiego Oka przybyli, przelatywały motyle groblę i spuszczały się ku jezioru. Wszakże gdy je tu chłód jeziora owiał spuszczały się coraz niżej, sła-

bły niby i padały na wodę, a gromada pstrągów chwytała je z powierzchni, tak iż pod wieczór nie było z tych niezliczonych rojów zaledwo kilka motyli, które się błąkały po brzegach.

Na pierwszy rzut oka nie wydaje się Morskie Oko tak obszerne jak jest w istocie; wszakże dopiero gdy się rozpatrzeć przyjdzie w niem i w turniach które go otaczają, rośnie z każdą chwilą w olbrzymie rozmiary ten widok niezrównany z niczem. Brzegi jeziora od strony grobli porastają limbami, rodzajem sosny który się dopiero na wysokości sześciu tysięcy stóp nad poziomem morza pojawia. Turnie wznoszące się od brzegów Morskiego Oka sterczą przeszło na dwa tysiące stóp jeszcze nad powierzchnią wód.

Zrazu wydaje się Morskie Oko i cały otaczający go widok nie tak rozległy, bo brak punktu i przedmiotu porównania tych rozmiarów i odniesienia do czegoś znanego, mianowicie zaś czuje człowiek potrzebę odniesienia wszystkiego do swojej postaci.

Wszakże gdy się brzegi jeziora ożywią, gdy się podróżni i górale rozsypią po brzegach i turniach, a na oko niby niewiele oddaliwszy się, wyglądają jak małe, szare, ruchome punkciki, wówczas dopiero rośnie widok ten w olbrzymie rozmiary i śmiało można powiedzieć że jezioro staje się tem większem im dłużej przy nim się bawi. Na grobli znajduje się szałas ku wygodzie podróżnych zbudowany, a na brzegu pod szałasem jest upięta duża tratew, na której kilkunastu ludzi przewieźć się może ku przeciwległym brzegom; otoż wówczas dopiero gdy ta tratew w połowie jeziora już płynie, wydaje się jak ciemna linijka tylko, posuwająca się po krzyształowej powierzchni i wówczas dopiero można ocenić, czy to patrząc za płynącymi od brzegu, czy płynąc samemu na tratwie, co to za wielkie jezioro, jak olbrzymie masy gór dokoła je ostąpiły.

Zbliżając się do przeciwnych brzegów, daje się słyszeć naprzód cichy szum wód, który z każdem uderzeniem wiosła rośnie. Pionowa prawie ściana wznosi się z brzegów jeziora do połowy turni i wielkie smugi niby śniegu przeciągnęły się po niej pasmami; smugi te wydają się nieruchome, wszakże

w miarę dopiero przybliżania się i rosnącego szumu poznaje każdy że to są żywe wody, które z tej wysokości urywają się, spadając w pionowych prawie spadkach z jeziora, które się wyżej jeszcze rozlało, w nowej kotlinie wśród samych już turni. Wodospad ten nazywają roztoką, a jezioro z którego wypływa Czarnym Stawem. Skała po której się ten wodospad zmyka, wydaje się z oddalenia pionową i jest rzeczywiście taką — po łomach jednak olbrzymich bloków prowadzi obok niego ścieżka na wierzch tego skalistego upłazu, gdzie się w wielkiej kotlinie Czarny staw rozlewa. Nie darmo tak go nazwano—jestto kraina śmierci. Wszystko przeraźliwie piękne i grożno malownicze—dzikość natury występuje tu i we wszystkich linjach i w całym kolorycie a kiedy kotlinę okryją mgły pomiędzy szczytami turni zawisłe szarem niby sklepieniem, wówczas wygląda kotlina jeziora jak czarny przepaścisty krater, który pod nogami zieje. Tu już niema ani rośliny, ani żadnego głosu natury — wodospad tylko zdaje się żywą rozpaczą wód lecących w przepaść — jeżeli gdzie, to tu pragnie człowiek strzałami obudzić echo niemych skał, ażeby się choć za jego przyczyną ozwał grzmot echa po górach.

ROZMOWA

CHŁOPKA Z MIESZCZANINEM.

Mieszczanin Maciej wyszedł razu pewnego do pobliskiej wsi, aby odwiedzić przyjaciela, sołtysa Wojciecha. Powracając, gdy widział zbliżającą się burzę, szukał schronienia w niepozornej chłopskiej chałupie. Deszcz rzęsisty padał już długo, wszystko dążyło pod dachy, gdy właściciel chaty poczciwy Bartłomiej wszedł przemokły, wraz z swym synem Walkiem za próg, a pochwaliwszy Pana Boga zwyczajem ojców, usiadł za stołem obok mieszczanina, ocierając pot z pomarszczonego czoła. Mieszczanin przypatrywał się znużonemu staruszkowi, i taką z sobą rozpoczęli rozmowę.

— Ach! jakże dziękuję Panu Bogu iż nie jestem rolnikiem!

W takiej niepogodzie orać lub pracować w roli, to okrutna bieda! A jakże to często panują teraz niepogody!

— Co tam za bieda, mój panie odpowie Bartłomiej: pogodę, jako i deszcz, zsyła nam Pan Bóg a równie dni piękne, jako i niepogody są nam pożyteczne.

— Prawda; aleć gdy deszcz was zmoczy, łatwo się możecie choroby nabawić.

— Co zmoczy, to prawda, lecz z tego nie chorujemy; nazwyczailiśmy się do tego to nam deszcz nie szkodzi.

— Tak, ale nim się to człowiek do tego przyzwyczai —

— Z młodości nie znamy tych wygód, co ludzie u was w mieście. Matka chowając dziecko, wie o tem że je nie na to Pan Bóg stworzył żeby próżnowało, więc go od młodości wygania na pole do roboty; je byle co, odziewa się ladajako czy słoneczko pali, czy mróz ściska, więc się też dzieci nazwyczają do pracy i niewygody. U was znowu co innego, matka chucha, dmucha, karmi bułeczkami i mięsem, strzeże od zimna i gorąca, od deszczu i od wszystkiego, to też jak mu parę kropli deszczu na nos spadnie, to legnie zaraz i choruje.

— Ba, przecież i my mieszczanie pracujemy.

— Prawda mój panie! wiem że nie próżnujecie, ale przy zatrudnieniach i rzemiosłach waszych musicie siedzieć w zamkniętych izbach w zepsutem powietrzu, które wam pewnie do zdrowia nie pomoże: a wielu nawet z was oddaje się pracom, które siły zbyt nadwerężają i skracają życie; my pracujemy na świeżem powietrzu, pod gołem niebem, powietrze takie zdrowe że aż pachnie. Wy siedzicie cały dzień przy warsztacie albo w kramie, to tam nawet nie macie chęci do jadła. Potem wy siedzicie do późna, a za to rano my już od kilku godzin przy robocie, a wy śpicie wtedy, kiedy człeku najzdrowiej wstać; tak nie idzie, żebyście mi dali niewiem co tobym w mieście nie siedział.

— To prawda, ale czy się wasza praca opłaci, tyle różnych nieszczęść przychodzi na rolnika: susza, deszcze, grady i burze, wojna, zarazy, w jednej chwili prace wasze zniszczyć mogące; my zaś pracujemy ciągle, i gdy wiele ludzie potrzebują, najwięcej zarabiamy.

— Prawdać to, aleć nam wiele nie trzeba. Kto ma kawał pola i robi około niego ochotnie, to nawet nie jest w stanie zjeść tego co łaskawa daje Opatrzność. Gdy Pan Bóg błogosławi polom naszym, przy dobrym rządzie, może gospodarz spokojnie rzadkie klęski i nieurodzaje znosić, ufając iż Pan Bóg raz zasmuci a dziesięć razy pocieszy. Wam daleko gorzej, bo wiele macie takich potrzeb, o jakich my nie myślimy. Albo to chłopu potrzebny cukier, kawa, herbata, drogie suknie, żartuje on sobie z nich i dobrze mu z tem.

— Od nieszczęścia i przygód, które was spotykają, jesteśmy wolni; mamy rozmaite sposoby, chroniące od nich; mamy pomoc w każdej chwili w chorobach; wychowujemy lepiej dzieci nasze; rozrywki rozmaite uprzyjemniają nam wolne chwile. Kościoły nasze wspaniałe wzbudzają i utrzymują w nas ducha pobożności, domy nasze lepsze, ogrody piękniejsze, a odzież wygodniejsza i stosowniejsza do por roku, niż wasza.

— Kochany panie! prawda, że nasza bieda nie jest do zazdrości, ale kto czego nie zazna, o tem mu się nie śni. Wreszcie czy człek sypia na pierzu, czy na słomie, to się równo wyśpi; czy jada łyżką drewnianą czy srebrną, to się zarówno naje; czy ma na grzbiecie kożuch barani, czy niedźwiedzie futro, to mu jednako ciepło, jak zaś pomrzemy to nas zarówno w jednakiej zakopią ziemi, chociaż wy mój panie będziecie mieli trumnę obijaną srebrnemi ćwiekami a ja cztery deski, to obie jednako zgniją. Piękne są kościoły po miastach i godne pana Boga, ale najwyższy Stwórca tak wysłucha modlitwy z marmurowego kościoła jako i z drewnianego, byle tylko ten co się modli, modlił się szczerze. Dobrze wam, dobrze nam — nie ma co jeden drugiemu zazdrościć.

— Mówcie co chcecie, kochany Bartłomieju; jabym jednak nie chciał być wieśniakiem.

— Miasto ma swoje dobre a wieś znów swoje. Najlepiej kiedy człek kontent z tego, co mu Opatrzność dała. Nie pogardzam bynajmniej miastem, ale tylko chciałem pokazać wam iż i wieśniak może być szczęśliwym, jeśli na tem przestaje co ma od Boga.

SZAJNE-KATARYNKA.

Obrazek dalszy.

Ukazuje się Jan Tarnowski z buławą w ręku: „Ta wielka Leliwa, Co światłem opływa“.



To hetman Tarnowski!

Mąż polski i boski,
Co bronił ojczyzny
Do późnej siwizny,
Co sięgnął po sławę
I wielką buławę
Na światów trzech krańce,
I naprzód pohańce

Wojował za światem,
A potem bułatem
Ciął Moskwę przeklętą,
I Wołosz zaciętą.

Mąż dzielnej wymowy,
W obozie surowy,
Śród boju niezłomny,
W zwycięstwie człek skromny,
W pokoju nauki
Pokochał i sztuki.

Gdy srogi, to iskry mu z oczu leciały,
I szyja się trzęsła i włosy wstawały,
I kark się Janowi
Odymał jak lwowi;
Gdy tęskno, to takie płynęły mu słowa
Że rzekłbyś to anioł, nie człowiek z Tarnowa.

Za króla Olbrachta
Poginęła szlachta;
Co Olbracht po stronie wołoskiej porzucił,
Tarnowski Koronie ze sławą powrócił;
Jak hetman padł krzyżem — Obertyn pamięta,
Nim jeszcze z Wołoszą jest bitwa poczęta;
Ztąd kiedy Wołoszę do mogił już wmiesił
W katedrze krakowskiej chorągiew zawiesił.

I jako w Koronie
O jego patronie
O świętym Janie,
Jest wiara że żyje,
Tak jest między ludem
Że pan hetman cudem
Kiedyś jeszcze wstanie
I wrogów pobije.

O RYCERSKICH CZYNACH PUŁKOWNIKA
Morawskiego,
byłego czeladnika rzeźnickiego z Gniezna.

W tym samym czasie kiedy zacny Szczygieł szył buty w Pyzdrach, kłuł pan Morawski cielęta w rzeźni Gnieźnieńskiej. Ale jak tamten tak i ten nie długo wytrwał przy swojem rzemiośle i wkrótce na obszerniejszą wystąpił widownię, aby zamiast bydła kłuć wrogów ojczyzny.

Ojciec jego był zubożałym szlachcicem zagonowym, matka zaś mieszczanką, wdową po rzeźniku z Gniezna. Antoni oddany został do terminu do rzeźnika i tam przez dłuższy czas zostawał. Doszedłszy do lat i skończywszy czas terminowania, został wyzwolony, ożenił się z panienką uczciwych rodziców stanu mieszczańskiego i prowadził odtąd na własną już rękę swoje rzemiosło.

Był podówczas burmistrzem w Gnieznie niejaki Grisinger, Niemiec co przywędrował był kędyś z daleka do starej naszej stolicy, która już wówczas przepełniona była Niemcami. Grisinger należał do liczby tych Niemców, którzy czyniąc wstyd własnemu narodowi, gotowi się powlec aż na kraniec świata i wszędzie im dobrze, wszędzie jak w domu gdzie tylko mogą się do syta najeść i napić. Otoż Grisinger zagospodarował się w Gnieżnie jakby u siebie, potrafił sobie pozyskać wielu popleczników, dochrapał się podstępem burmistrzowstwa, utuczył się na polskim chlebie, ale nie przestał nigdy wyrzekać że Polska to kraj dziki a Polacy to istni niedźwiedzie. Pewnego razu siedział sobie pan burmistrz za stołem w szynkowni pod Barankiem i wygadywał swoim zwyczajem na Polskę i Polaków. Był podówczas w tejże samej izbie i Morawski i słyszał jak opasły Grisinger wydziwia na Polskę. Przebrała mu się więc cierpliwość i przystępując do stołu, przy którym siedzieli Grisinger i kilku z jego towarzystwa, zapytał spokojnym głosem, hamując się jak mógł:

— A gdzie to wasze panie burmistrzu tak swój brzuch wypasł, jak nie w Polsce, na którą tak narzekasz? Przybyłeś

tu cienki jak szczypa a dzisiaj toby i cztery woły nie wywiozły tego wszystkiego czegoś się w Polsce dorobił zdzierając ludzi!

Oburzony taką przymówką Grisinger wybełknął na to jakieś grubiaństwo. Morawski nie mógł się już dłużej pohamować i jakkolwiek to bynajmniej nie pięknie i nie honorowo, wyciął Grisingerowi taki zamaszysty policzek, że się odgłos rozległ aż po ulicy a burmistrzowi zaświeciły świeczki w oczach jakby w siedmiu kościołach.

Po takim wypadku nie mógł już Morawski usiedzieć długo w Gnieznie. Rozgniewany burmistrz dokuczał mu srodze, a jak wiadomo łatwiej opędzić się największej biedzie niż złemu człowiekowi. Morawski więc postanowił opuścić Gniezno i połączyć się z konfederacją, która wówczas pod dowództwem Malczewskiego w Wielkopolsce przebywała. W tym zamiarze wybrał się cichaczem z Gniezna i pożegnawszy żonę przepadł na jakiś czas bez wieści, jakby kamień w wodę wrzucił. Gadano sobie tylko na ucho że Morawski zwija się po sąsiednich miasteczkach, że zbiera ochotnika i zamyśla niespodziewanie napaść Gniezno, żeby zeń Moskali wypędzić, którzy już wówczas roztasowali się byli w tych stronach.

Jakoż istotnie Morawski nie chciał się stawić tak sam przed Malczewskim i postanowił pierwej zebrać sobie kilkunastu ochotników, odznaczyć się jakimś czynem a dopiero udać się do obozu naczelnika. Moskale truchleli na takie wieści, podwajali straże przy każdej bramie, czuwali dzień i noc i wysyłali liczne patrole po okolicznych wioskach, ale nigdzie Morawskiego przydybać nie mogli. Upłynęło tak kilka tygodni, Moskale przestali już wierzyć pogłoskom i sypiali spokojnie po nocach.

Aż tu pewnej nocy zniknęło czterech kozaków, co stali na straży przy prochowni za miastem. Dopiero w dwa dni poźniej znaleziono ich potopionych w jakiemś bagnie. Nie upłynął tydzień, Moskalom zabrakło jednego działa. Morawski bowiem zakradł się był samotrzeć nocną porą do Gniezna, sprzątnął cichaczem szyldwacha co dział pilnował, zagwoździł jedno i zataskał do jakiejś starej piwnicy. Wściekali się ze

złości Moskale, ale Morawskiego nietylko złapać, ale nawet zobaczyć nie mogli. Jawił się on niespodziewanie nie wiedzieć zkąd, jak spadł z deszczem, narobił hałasu, ubił kilku Moskali i przepadł znowu jakby się skrył pod ziemię. Nieraz bywało dają szpiegi znać do głównej kwatery moskiewskiej że Morawski jest w Poznaniu. Moskale na łeb idą do Poznania, a tam już po Morawskim i miejsce zastygło. On tymczasem już im był zrobił wizytę w Gnieźnie w czasie ich niebytności i zabrał broń i amunicję, tak że gdy powrócili zastali tylko puste magazyny i podziękowanie od Morawskiego że dlań nalali kul i narobili patronów. (D. n.)

STAŃCZYK.

Trzeba najpierw wiedzieć że błazen Stańczyk był z urodzenia szlachcicem polskim, i urodził się w miasteczku Proszowicach, w krakowskiem. Byłto człowiek szczególniejszy, zupełnie nie wyglądał na zwykłego błazna. Został dowcipnisiem jedynie dla tego że chciał ludziom prawdę mówić, a choć wówczas były złote zygmuntowskie czasy, jednak gorzkich słów prawdy nie lubiano tak jak dzisiaj. Więc obraziwszy kogo można było łatwo ściągać na siebie różne nieprzyjemności, których znowu trudno sobie dobrowolnie życzeć. Dlatego został Stańczyk błaznem królewskim, bo jak wiecie błaznom wszystko wolno. Stańczyk był bardzo sławnym, a w dowcipach jego, których znamy wiele, widać iż się zawsze starał o mówienie prawdy, a najmniej o błahe śmieszki. Dla przekonania się przypomnę wam kilka dowcipów Stańczyka, choć może niejeden z nich jest wam już znanym.

Stańczyk był na dworze króla Zygmunta pierwszego i był bardzo lubionym u tego króla. Razu jednego przywieziono Zygmuntowi ogromnego niedźwiedzia z Litwy, a chcąc sobie sprawić zabawkę, kazał go król puścić w lasy w Niepołomicach, aby tam na niego uczynić polowanie. Zebrano się ogromnem towarzystwem na te łowy. Był król, była nawet królowa Bona i mnóstwo panów i szlachty i dworzan, a mię-

dzy tymi także Stańczyk. Ale polowanie jak najgorzej się powiodło. Rozjuszony niedźwiedź wypadł na łowców, mnóstwo psów pożarł i rozpędził, a potem rzucił się na najbliższych ludzi; przewrócił jednego i drugiego z koniem, a w końcu rzucił się tam gdzie królowa Bona stała. Królowa zaczęła szybko na koniu uciekać, tymczasem koń się potknął a Bona spadła, a potem odchorowała ten przypadek. Owoż był tam niedaleko Stańczyk, i także uciekając przed niedźwiedziem, przewrócił się z koniem. Po łowach zaczął się król śmiać ze Stańczyka, przyganiając mu że uciekał przed niedźwiedziem nie jak rycerz, ale jak błazen. Na to odpowiedział mu Stańczyk:

— Gorszy to ten błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni puszcza go na swoją szkodę.

W innym kraju, w Niemczech albo w Moskwie, ukaranoby takie powiedzenie królowi najpewniej śmiercią; jednak dobry i zacny król Zygmunt polski uśmiechnął się tylko i rzekł łaskawie do Stańczyka:

— Dobrze się umiesz bronić mój kochany, a za to dostaniesz odemnie nową szatę, bo ci twoją trochę niedźwiedź podrapał.

Innym razem położył się król Zygmunt spać po obiedzie, a dzień był gorący, letni, i much dostatek. Dlatego rozkazał król Stańczykowi oganiać muchy pawiem piórem, aby mu nie dokuczały. Oganiał Stańczyk czas niejaki, ale wnet mu się taka praca sprzykrzyła. Owoż kiedy król zaczął drzemać, rzucił pióro i wlazł do komina. Muchy zaczynają dojmować Zygmuntowi, więc obudza się król i woła na Stańczyka. Domyślił się błazen co to ma znaczyć, więc nie wyłażąc z pieca odpowie królowi:

— Pójdźcie tu do mnie królu, ja tu wygodnie leżę, i oganiać much nie trzeba, bo niema ani jednej.

W niedługi czas pożniej pojechał Stańczyk z królem do Warszawy. Tam widział jak bogate panie kazały nosić za sobą do kościoła poduszki do wygodnego klęczenia. Gniewało Stańczyka takie wygodnisiostwo, więc udał że nie wie o niczem, i zapytał raz panie:

— Czy będziecie spać w kościele, że sobie każecie przynosić poduszki? Panie zawstydziły się, i odtąd bywały skromniejsze w tym względzie.

Zaś pewnego dnia przyszedł do Stańczyka jeden dworzanin, prosząc go o pożyczenie opończy. A był to zły człowiek, który nie zasługiwał na to aby mu dobrze uczynić.

— A co tam na dworze? — zapytał Stańczyk.

— Pogoda — odrzekł dworzanin.

— Kiedy pogoda — mówi Stańczyk — to ci nie trzeba opończy; jak zaś będzie deszcz, to mnie samemu będzie jej potrzeba.

Na zakończenie opowiem wam jeszcze znajomy jeden dowcip Stańczyka. Był u króla Zygmunta obiad wielki, a na nim mnóstwo gości. W rozmowie zaczęto się sprzeczać jakiego stanu ludzi jest najwięcej na świecie? Jeden mówi że wieśniaków, inny że rycerzy, znowu inny że szewców, a tamten że kupców, i tak ani rusz dójść do ładu. Naostatku powie Stańczyk:

— Jużto najwięcej jest doktorów.

Wszyscy w śmiech, zaczną przedrwiwać ze Stańczyka, a on im na to:

— No, zakładajcie się ze mną, a ja wam dowiodę że to prawda co powiedziałem.

Wszyscy zakładają się ze Stańczykiem, a nawet król Zygmunt obiecał że jeżeli dowiedzie, to mu da znaczny podarunek. Stańczyk obiecał że na trzeci dzień już będzie gotów, tak rozeszli się. Nazajutrz rano podwiązuje się Stańczyk i wychodzi na miasto. Spotyka go jeden z gości wczorajszych i pyta się:

— A co ci takiego?

— Zęby mię bolą — odpowie Stańczyk.

— Weź czosnku i przyłóż, a przestaną pewnie.

Stańczyk podziękował za radę, i zapisał sobie w tablicę imie onego pana. Ledwie skończył nadchodzi drugi, pyta go i radzi znowu inne lekarstwo. Zapisał Stańczyk i tego. Już co krok spotykał kogoś, i każdy mu doradzał jakieś lekarstwo. Przez dwa dni chodził Stańczyk po mieście, i spisał

ogromny rejestr imion, bo prawie całe miasto znało go i każdy mu coś doradzał. Trzeciego dnia znowu uczta u króla i huk gości. Przychodzi Stańczyk podwiązany.

— Co ci Stańczyku? pyta król Zygmunt.

— Zęby bolą — odpowie on.

— Biednyś — rzecze król — idź do mego lekarza, a on ci poradzi lekarstwo.

— Już nie trzeba Miłościwy panie — odrzekł Stańczyk odwiązując twarz — bo ci panowie i całe miasto doradzało mi, i pomogli wygrać zakład ze sobą. Oto Najjaśniejszy królu spis doktorów i dowód że ich najwięcej wszędzie, bo w Polsce tylko jeden król nie jest doktorem.

Mówiąc to oddał królowi spisanych panów. Wszyscy uśmieli się z dowcipu, a Stańczyk mnóstwo bogatych odebrał podarunków.

Z tego wszystkiego widać że Stańczyk był człowiekiem niezwykłym, rozsądnym i zacnym. Tak o nim wszyscy myśleli, i szanowali go bardzo. Najbardziej lubiał go król Zygmunt pierwszy, a kiedy ten umarł, nie mógł go się Stańczyk odżałować. Często chodził na grób króla, i tam modlił się za jego duszę z rzewnym płaczem. Umarł sam w bardzo poźnym wieku, a cała Polska serdecznie go żałowała. Pisano wiersze na jego pochwałę, wychwalając mądrość i prawdomowność. Długo też pamiętano o nim, i chwalono go następnym dwuwierszem:

Słyszeliśmy gdzieś dawno o tym tam rycerzu,
Że ten nigdy z nieprawdą nie chciał być w przymierzu.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1862.